



STEFAN ZWIERZ

Dnia 25 czerwca 1946 r. w Łodzi sędzia śledczy S. Krzyżanowska przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Stefan Zwierz
Wiek	46 lat
Imiona rodziców	Jan i Teresa
Miejsce zamieszkania	Łódź, ul. Orla 11
Zajęcie	urzędnik
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

Od drugiego dnia powstania (2 sierpnia 1944) do *Stauferkaserne* była spędzona cała ludność cywilna, początkowo z najbliższej przylegających do koszar domów, a dniach następnych i z dalszych, obejmując w rezultacie czworobok: Rakowiecka, Wołoska, Narbutta i Wiśniowa. W pierwszych czterech dniach zatrzymani mężczyźni (kobiety zwolniono po kilku godzinach) traktowani byli jako zakładnicy.

4 sierpnia z sali, w której znajdowałem się wraz z około 150 zakładnikami, wybrano trzykrotnie po 15 osób na egzekucję, wybierając na oko spośród nas ustawionych pod ścianami sali. Takie wyprowadzenie skazańców poprzedzała zapowiedź w języku niemieckim mniej więcej tej treści: „Dzisiaj polscy bandyci zabili tylu a tylu Niemców, wobec tego z tej sali wyznacza się na egzekucję tylu a tylu Polaków”. Wybranych wyprowadzono gdzieś na wał i tam ich rozstrzelano. Tak opowiadali ci, którzy zostali wyznaczeni do pochowania zabitych.

Nazwisk ani chowających, ani chowanych nie pamiętam. Spośród pierwszej piętnastki pamiętam sklepikarza z Puławskiej 34 (sklep ze słodyczami) i pamiętam popa, któremu kazano przy egzekucji śpiewać. Tegoż dnia wieczorem około 7.00 – 8.00 przypędzono na podwórze koszar naprzeciwko naszych okien grupę około 40 mężczyzn z rękami podniesionymi do góry, po czym po upływie pół godziny rozstrzelano ich dwoma ręcznymi karabinami, a dających oznaki życia dobijano strzałami z rewolwerów. Byli to mężczyźni z domu narożnego al. Niepodległości/Narbutta. Egzekucja odbyła się na oczach nas wszystkich pod ścianą, tuż na prawo od głównego wejścia przy ulicy Rakowieckiej (ślady kul widoczne). 5 i 6 sierpnia zasypało nas ulotkami, że gen. Bór zrezygnował z oporu przeciwko Niemcom i wzywa do pozostania na stanowiskach z bronią zwróconą przeciw Rosjanom (oczywiście były to ulotki fałszywe). Jednocześnie dało się zauważyć zmniejszenie terroru, nawet po tylu dniach dostarczono nam jedzenie (spieśniałe suchary, marmoladę i kawę). Przez cztery dni [wcześniej trzymano nas] bez jedzenia. Pozwolono na przynoszenie jedzenia przez kobiety między godz. 12.00 a 2.00. Na skutek wniosku jednego z zakładników, inspektora PCK Jana Wierzbickiego (obecnie inspektor PCK w Poznaniu), celem zapobieżenia epidemii wskutek rozkładu leżących na ulicach ciał zabitych – komendant Konr. *Obersturmführer* Patz zezwolił na utworzenie drużyny grabarzy Czerwonego Krzyża. Grupie tej postawiono warunek meldowania się trzy razy w ciągu dnia oraz zagrożono zbiorową odpowiedzialnością za ucieczkę któregośkolwiek. Drużyna obejmowała 18 osób wybranych przez inspektora Wierzbickiego, głównie mężczyzn z domu przy ulicy Kazimierzowskiej 79, których znał, gdyż w tym domu mieszkaliśmy. Przez cały sierpień zbieraliśmy zabitych na ulicach: Rakowieckiej, Kazimierzowskiej, Wiśniowej, al. Niepodległości, do ulicy Madalińskiego i chowaliśmy w wykopanym przez nas dużym wspólnym grobie na terenie posesji przy ulicy Kazimierzowskiej 68 (około 140 osób). Zabitych i spalonych po domach chowaliśmy na podwórkach, na miejscu. Zabieraliśmy również ciężko rannych podczas walk do zaimprovizowanego szpitalika u sióstr niepokalanek przy Kazimierzowskiej 59. Przy ulicy Sandomierskiej (zdaje się 21 i 23) zastaliśmy pomordowanych przez Ukraińców mieszkańców (w tym chorych, starców i dzieci, po kilkanaście ciał).

Drużyna nasza, mimo opasek Czerwonego Krzyża, podczas pełnienia swej funkcji atakowana była przez Ukraińców i często brana na cel przez samych Niemców, czego rezultatem był jeden zabity – Rosiczna i jeden ciężko ranny – Leśniak. Niemcy kazali również z banderą Czerwonego Krzyża zdobywać żywność, mając członków drużyny na muszce

swych karabinów. Tak było na ulicy Kwiatowej, o parę kroków od stanowisk powstańców, gdziekazano nam z jednego domu przetoczyć dziesięć beczek śledzi po 20 kg każda.

U zabitych powstańców Niemcy kontrolowali dowody osobiste, szukając następnie członków ich rodzin celem likwidacji. Taki wypadek był przy ulicy Kwiatowej, gdzie zastrzelono żonę powstańca oraz jego małe dziecko. W dalszej akcji wysiedleńczej, około 15 sierpnia, Niemcy usunęli już całą ludność wraz z kobietami i dziećmi, kierując ich na zachód. Jednocześnie dały się zauważyć przeciągające przez ul. Rakowiecką tłumy ludności z innych dzielnic Warszawy (np. Czerniaków) pędzone do Pruszkowa. Chorym i najsłabszym z nich rozdawaliśmy kawę, zupę i środki opatrunkowe. W międzyczasie mężczyzn więziono w *Stauferkaserne*, używano do rozbiórki barykad przy ulicy Różanej oraz usuwania siatek zawieszonych przez powstańców w poprzek al. Niepodległości. Jednego ciężko rannego przy tej czynności mężczyznę przyprowadzili żołnierze niemieccy na opatrunek. Do zaimprovizowanego szpitalika przy ulicy Kazimierzowskiej 69 (zakład niepokalanek został spalony) ściągaliśmy rannych i kobiety rodzące.

W drugiej połowie sierpnia podjęliśmy akcję pogrzebania pomordowanych księży i wiernych przebywających przypadkowo w kościele Jezuitów św. Andrzeja Boboli, przy końcu ul. Rakowieckiej. Na miejscu zastaliśmy skłębione i zwęglone zwłoki kilkunastu albo kilkudziesięciu osób zamordowanych już w pierwszych dniach powstania (przypuszczalnie już 1 sierpnia przez Niemców, którzy swe ofiary spędzili z kaplicy do kotłowni, gdzie zamordowali je, wrzucając tam granaty i strzelając z automatów, a potem podlali benzyną i spalili). W czasie, kiedy Niemcy szukali benzyny, dwu księżom udało się wydobyć spod trupów i uciec. Uratowani schronili się do piwnic na sąsiedniej ulicy. Przełożonego klasztoru, ks. Kosibowicza Niemcy wywieźli na aleję Szucha. Sądzę, że nazwiska tych księży dadzą się obecnie ustalić w klasztorze jezuitów, gdzie obecnie ktoś z księży musi być.

Wszystkie egzekucje, jakie odbyły się na terenie *Stauferkaserne* oraz w więzieniu mokotowskim przy Rakowieckiej zarządzane były przez komendanta koszar *Obersturmführera* Patza, którego rozpoznała córka inspektora Wierzbickiego Alicja jako dawnego lektora języka niemieckiego na uniwersytecie w Poznaniu. Robił przeglądy i często kazał indywidualnie tracić w więzieniu mokotowskim (Woyczyńskiego). Egzekucje przeprowadzali żołnierze SS. Patz miał pomocnika nieokreślonej przynależności służbowej był bowiem ubrany na pół po wojskowemu. Zajmował się on głównie grabieżą rzeczy w okolicznych domach i piwnicach. Urządził sobie apartament w domu

przy ulicy Kazimierzowskiej 85 (róg Rakowieckiej, gdzie mieszkał razem z Patzem i składał wszystkie łupy w postaci złota, drogich kamieni, futer itp.). Zdaje mi się, że nazwisko jego jest do ustalenia, gdyż był w przyjaźni z Polką, której nazwisko jest znane ob. Średzińskiej (zam. obecnie przy ul. Kazimierzowskiej 79 lub 85).

Świadcami powyższych wypadków między innymi byli:

1. Jan Wierzbicki, inspektor PCK, Poznań
2. Alicja Wierzbicka, jego córka
3. Dominik Drzewososi, Warszawa, ul. Kazimierzowska 70
4. Insp. Władysław Nawarski, adres zna Drzewososi
5. Mieczysław Grześkiewicz, ditto
6. Gebel, obecnie inspektor szkolny, adres można ustalić w Ministerstwie Oświaty.